

# Wiersz dla Becky Lublinsky



ANDRZEJ SOSNOWSKI

ŻYCIE NA KOREI

## *Wiersz dla Becky Lublinsky*

Więc tyle masz ze wszystkiego, co z niej — fragmenty,  
czarne skrzynki, kadłubki znaczeń niby hasła  
szeptane w grze w głuchy telefon lub coś  
jak „ciepło-zimno” z cienką chustką na oczach.  
Czy z Cypru jesteś, z Pafos czy Panormos —  
nie wiem gdzie mnie prowadzisz, grając  
na moim słowniku. Czy na świat?

Te rozkołysane nazwy są jak światła na wodzie  
(sznur wiślańskich wianków) i system z pewnością  
nie uchwyci widma, liści oliwek na wietrze,  
nikłych blasków i cieni migotliwego świata.  
Tak jak zawsze pod wieczór, kiedy zdajesz sprawę  
z miłości, subtelnych zajęć, niezbędnych sprawunków  
i widzisz, że zawodzi porządek analogii,  
bo masz tylko opary, rój mgławic, karuzelę znaków  
o środku wszędzie i obwodzie nigdzie jak karuzelę  
luster odbijających światło, które nie ma źródła.  
I można chyba pokochać cypryjską dziewczynę  
albo inną z Pafos lub nawet z Panormos,  
bo taki mały ten świat. Lustra  
ustaw na brzegu, ona z morza przyjdzie  
więc wystarczy morze położyć na brzegu świata  
i krzyk czarnego koguta rozpiąć nad płycizną,  
a z łuny wodnego pyłu wyłoni się postać  
i w przestrzeń wzdłuż morza wejdą inne dziewczęta.  
W końcu wszystko jedno, który fragment pójdzie  
na pierwszy ogień; starczy byle słowo albo i sylaba,  
żeby dzień zacząć na dobre czy złe, a ten smutek,  
który cię bierze wieczorem, jest może po prostu  
świadomością, że znów jedynie kurz ci został,  
pył z paru wydarzeń, kilka pajęczych nici,  
które jeszcze trzymasz w palcach, splątane  
i już niezdolne wprawić w ruch niczego.  
I przez mój smutek przemawia owo  
„spaliłeś mnie”, skierowane do świata  
na poły ostrzeżenie, a na poły wdzięczność,  
bo kiedy odchodzę w sen, czuję już tylko  
słabnący smak dnia na podniebieniu i dym  
zasnuwa mi oczy, a w palcach obracam  
jakby grudki żużlu — wspomnienie tego,  
czego dotykałem. Wszystko jest dym, jak mówią,  
albo trochę koniecznej organizacji plus żużel,  
tony żużlu. Dlatego też mówią, że dobrze umierać  
wyczerpawszy energię, bo to gwarantuje,

że się po śmierci nie będzie straszło —  
żadnych scen i ekscesów, ani żadnych wkroczeń  
alternatywnego świata jak ta biała koza  
mająca na papirusie oddanym przez piasek.  
Tę białą kozę odsyłam ci uprzejmie,  
nic mi bowiem po niej — stoi w pustym polu,  
gasząc wszystko wokół. Odsyłam ci kozę  
jakbyś odesłała „telewizor”, „gazetę”, „książeczkę wojskową”  
i odprowadzam inne słowa, które dajesz i zabierasz  
jak dziecko pokazujące zabawki przez szybę  
małemu sąsiadowi z przeciwka, te arkana  
rosnącej duszy: zobacz, wstydz się i kochaj.  
Muszę je pominąć. Zaiste, trzeba ustalić  
czy ziemia jest płaska, czy zaokrąglona  
i potem pracować w świetle nieuchronnych faktów  
wymownie milcząc o tym, czego się nie da powiedzieć.

„Pożądająca miłości *geistreiche Frau* (bohaterka ducha)  
z wycieczki artystycznej przywozi ze sobą  
młodzieniaszka”. Coś podobnego. Ten piknik  
to zwrot w twoim życiu, sprawa śmiertelna:  
zegar przyspiesza biegu, piasek kipi z klepsydry  
i szumi o spoczynku sypiąc grób, opuchliznę ziemi.  
Wciągnij mnie w wir wieków. Nie mów, że bym wybrał  
„młodsze łóżko dla moich żądź”, bo z tobą chciałbym  
dzielić życie, choćby przez mgnienie słowa. Brać cię  
na język jest przecież tak cudownie  
jak smakować kolorowe piguły lodów  
w upalny zmierzch, kiedy akcja serca właściwie  
kończy się nieznacznie, a kłębki nerwów  
rozwijają się w omdlałe pąki. I głowa ciąży  
od widzeń, a ty pytasz dlaczego  
tak mało mówimy o bezspornym szczęściu,  
które przecież waliło się na nas jak mgła  
spychana przez wiatr w doliny, jak morze  
co się wspina, żeby zajrzeć w głąb wyspy  
zapomniawszy, że nie ma już wyspy, bo połknęło ją morze  
i, jak okiem sięgnąć, wszędzie — szczęśliwa karuzela fal?  
Czy straciłaś tak grunt pod nogami, czy byłaś tak bardzo  
unicestwiona przez szczęście, że poszły w niepamięć  
wszystkie ciężkie słowa, z których żadne nic  
nie ukrywa ani nie mówi wprost, natomiast każde  
znaki daje? Czy byłaś szczęśliwa na tej majówce z Faonem  
brzemiennej w skutki? (Jakiś reżyser podbiłby wam oczy  
zachodem słońca, bo ta sprawa między wami  
zepchnęła cię w końcu z leukadyjskiej skały. )  
W nawias nieba wzięta, po skoku z bieli w biel  
wniebowzięta zostawiłaś wklęsłą przestrzeń,  
skłębione powietrze miękkie jak puch, jak pościel,  
zaproszenie do miłosnej gimnastyki i wielosłownej  
kołysanki, słowem, cudzysłów i nawias.  
Tak jest zawsze: cudzysłów, a potem nawias.  
Najpierw cudzysłów krążący po świecie,  
nawet nie fotografia, ten cytat z natury,  
ale umowny wizerunek, cytat niedokładny —  
„fiołkowowłosa, czysta, uśmiechnięta” dziewczyna  
twoja lub moja, bądź sąsiadeczka zza ściany

spędzająca sen z oczu chłopca, tego pierwszego krytyka,  
Faona, „światlistego”, który oszołomiony pięknem  
ucieka na Sycylię. Posłuchaj Melitto,  
nic z tego nie będzie oprócz twojego imienia  
wątlejszego od „Mnasidike”, lżejszego niż „Gyrinna”  
(„zgrabniejsza jest Mnasidika niż delikatna Gyrinna”),  
westchnienia sylab, które wzywały Faona  
w jakąś gorzką noc i przepadły bezkształtne  
i niedorzeczne, o, nie jak słowa tamtej,  
które mruczę pod nosem, ten język aniołów,  
którym zaczynamy mówić, gdy widzimy „wszystko  
we wszystkim”, jak chce Lichtenberg.

Atoli każdy system jest prostym przejawem  
transu serca, które łatwo zrozumieć, szlachetne,  
bo będzie to dla mnie tak długo jak pragniesz  
odbicie światła. Zaśpiewaj nam najbardziej,  
o serce, teraz, kiedy ponownie odkrywamy ciało,  
odzyskując ideał misternego szczęścia. Czyż nie?  
Czy nie rzekł Lichtenberg, że „świat stanie się jeszcze  
tak wykwinny, że równie śmiesznym będzie wierzyć w Boga,  
jak obecnie w upiory?” *Czy gay scene* w Londynie  
nie jest w awangardzie wrażliwości, czy najlepszej muzyki  
nie robią weseli dziwacy, jak gdyby perwersja ciała  
cudownie zniekształcała duszę, pchając ją  
w nieprzeczuwane rejony wymyślnej subtelności?  
(Narzeczony przejął coś z piękna spotkania  
kominarza i pastereczki na stoliku pod lustrem).  
*Straight scene* bardzo nudzi. Ich antyczne kluby  
podupadają, pełne ziewających par, bo oni  
już wiedzą, że znaleźli się na bocznym torze  
do kupy z nadąsanym kościołem, ideologią,  
„komunistyczną pyszałkowatością” i dydaktycznym  
show-biznesem. Ich *art world*  
idzie pod młotek. Pozostają jeszcze proste obowiązki,  
Morlokom, przedłużenie gatunku. Ależ ten świat  
zrobił woltę! A było to takie proste:  
znaleźć się w epoce zupełnie post-poważnej,  
postlogicznej, postwerbalnej, posthumanistycznej —  
wystarczyło odkryć świat za zasłoną powiek,  
w zamkniętych oczach, jak Beethoven usłyszał muzykę  
odciętą od uszu. Opadły powieki, zgasło światło.  
Znieruchomiła pamięć. Świat zamarł  
zwinęty w kłębek mroku, a później figlarnie  
rozwinął się w łamańce. Czy ty  
to przeczuwałaś? Ty i cała ferajna,  
którą wyobrażam sobie teraz, tańcząc w klubie o ścianach  
wyłożonych monitorami wysyłającymi w przestrzeń  
setki alternatywnych światów? Zagrał  
zmysł możliwości i zagrał zmysł dada,  
poeci znów okazali się prawodawcami.  
I trzeba zrozumieć hedonizm, twój dom kultury, Mitylene,  
twój nocny klub pełen zakochanych dziewczyn  
studiujących pieszczoty i muzykę. Widzę je  
„strojne w kwiaty”, „czyste i urocze...  
z drogimi mitrami złotoczerwonymi nad czołem”  
na wonnych poduszkach, z odrzuconymi ramionami,

w chłodnym zapachu mirry i libańskiej kassji,  
w cichej muzyce, słodkim śpiewie fletów.  
Ta leży z szatą podciągniętą pod szyję,  
tamta zbiera „rosę lśniącą w płatkach  
rozchylonej róży”. Czy ten autotematyzm płci  
nie jest czczą, czystą sztuką jak szachowa zagadka?  
Kto mógłby się dziwić twojemu smutkowi,  
z którym żegnasz te, co idą rodzić dzieci?  
Chociaż Hymen ma swoje zalety i np. pociąga cię  
pewna estetyka, powiedzmy, ta biała poduszka  
zachęcająca dziewicę, by złożyła na niej  
swoje twarde pośladki, jak płótno zapraszające  
odprysk niepowtarzalnej czerwieni jak cyklamen  
lub wstążka od orderu, finał  
pospiesznej zabawy w pierwszą miłość  
kładącą kres sztuce. Niektóre nie krwawią,  
niektórzy nie ejakulują, ale ślub pozostaje  
jako przemiała konwencja.

I słowa są konwencją, słowa jak złote kwiaty  
piaskownicy wyrosłe na krawędziach świata  
lub kubki rzeźbione w złocie, wypełnione nieznanym napojem.  
Świat w nich się przegląda, bez skazy. Czy świat,  
który spada z leukadyjskiej skały?  
Codziennie świat spada z leukadyjskiej skały,  
sformatowane dni idą pod nowy zapis,  
pracują główce, kasują i nagrywają,  
czasem piasek ocali strzęp zapisu i poda  
dalej jako cytat, lekcję, algorytm,  
ściągawkę, kawał, hasło w grze w głuchy telefon —  
tak się obraca świat w nierzeczywistość,  
sztuka zwycięża. Estetyka ginie, bo jest jak nauka  
chodzenia i oddychania; jesteśmy codziennie nowi  
w wyszukanych obrzędach szczęśliwego życia  
o tyleż intensywniejszych w Adenie i Harrarze  
niż w *Iluminacjach*. Karnawał trwa — świat  
ocieka muzyką i czyż to nie jest lekkość  
immanentna w tym, co skomplikowane i wyrafinowane,  
podczas gdy rzeczy proste z dnia na dzień stają się  
coraz trudniejsze? Kończy się era tańca, zaczyna  
czas lotów. Bo mówisz, że wystarczy tchu nabrać w piersi  
i zawrócić sobie w głowie, żeby daleko odjechać —  
choć niekoniecznie „w nowe uczucie i hałas”.  
„O zamki! O sezony!” Jakże my potrafimy  
*studiować* szczęście w ciszy lotu  
ponad kolorową architekturą Paula Klee,  
która nagle stała się jedyną architekturą marzeń  
mówiącą dziecinnymi barwami wokół samochodów  
coraz szybszych, w których wygodnie rozparci  
wzbijamy się lekko w powietrze! Bez kamiennego snu  
o sile ciężenia, niemi, zbawieni od słów,  
a więc wolni od całego świata, który błyskał w nas  
tyloma językami! Czy jest jakaś alternatywa?  
Po gapowatym dzieciństwie — nerwowa młodość, potem  
kołnierz na uszy i znieczulające podróże,  
żeby szybko przejść przez czas umierania bliskich,

żeby wykroić trochę czasu dla własnej bez troski  
przed procesem? Starość w ubożuchnym kraju,  
gdzie zza pozorów importu wyczernione twarze?  
„Historia”, na szczęście, „osiąga niemy koniec”.  
Chociaż są jeszcze frajerzy, co mówią: „życie  
cię nauczy, życie ci jeszcze *pokaże*”.  
Też coś.

Dzień miękko ląduje w mroku  
prześlizgnąwszy się nad smugą kolorowych świateł  
wyznaczających pas ku ciszy i snom.  
Milkną maszyny, noc wstaje z palcem na ustach,  
noc św. Bartłomieja, albo inna noc,  
o której będzie głośno tak jak jest głośno  
po codziennej katastrofie, kiedy ludzie i mrówki  
biegają bezładnie, skandując sensacyjne wieści  
szyframi, z których kpi zaraz zlekceważony  
wrak — nierealny jak pożar widziany w dzieciństwie.  
Dzień miękko siada w mroku  
niedbale napomknąwszy o kilku prostych sprawach,  
które gasną jak ekrany telewizorów.  
Zasypiają wieże kontrolne i radary,  
prerażony umysł gubi się wśród fikcji,  
ból tonie w morfinie, troska śmieje się do szklanki,  
spocony kochanek odwraca się do ściany  
po pięciotysięcznym wytrysku i ma wszystkiego dosyć  
i tę błogą pewność, że życiu sprostali skutecznie,  
amortyzując je delikatną jak mgiełka gumą,  
jagnięcą błoną lub precyzyjnym krążkiem.  
(Nie mamy nic przeciwko temu). Omdlewają nerwy  
wytarte głęboką pieśczętą i czy właśnie  
nie o uwolnienie od nerwów nam chodziło,  
czy nacisk jaki kładziemy na dziś, tu i teraz  
nie jest próbą rozciągnięcia „teraz” w beczas  
barwny i wesoły jak karnawałowy balonik?  
Bo, jak mówi Rilke, „dostosowała się tam istotnie  
życia niebiańska połowa do półkulistej misy  
istnienia, jak dwie pełne hemisfery łączą się  
w jedną świętą, złotą kulę”. I dalej: „masywna  
konstelacja straciła ciężar i uniosła się w przestrzeń”.  
Można więc przedłużyć stadium estetyczne  
w nieskończoność, rozciągając je wzdłuż i wszerz,  
zwielokrotniając wrażenia. Czy jest opozycja?  
Ci, co mówią: „lata iluzji, lata kryzysu, lata wojen”?  
Ci, którzy lgną do życia zdegradowanego,  
uszczypleni w nerwy, słów, co „mają ciężar losu”?  
Bo przecież są ciche upomnienia bomb, aluzje  
terrorystów i ulicznych proroków, a ponad wszystkim  
jeszcze płąsa balon polityków — sale konferencyjne,  
rezydencje, nadęte pałace pełne luster  
i małych mikrofonów, co zawzięcie pracują  
nad szumem deklaracji i proklamacji  
napęniających świat szeptem *flatus vocis*<sup>1</sup>, *flatus vocis*.  
Nie będzie płąsał długo. Nudzi  
ta obowiązkowa opozycja. Życie?

---

<sup>1</sup>*flatus vocis* (łac.) — nazwa bez odpowiednika w rzeczywistości. [przypis edytorski]

Niech nasz komputer zrobi to za nas. Polityka?  
Tylko patrzeć jak dygnitarze zejść  
ze stolików i przyjdą potaćzyć tam,  
gdzie David Bowie montuje dla wiernych  
ołtarz z aluminium, szkła, światła i dźwięku.  
Ha, chociaż taka zwyczajna młodzież  
pewnie zawsze będzie wołała faceta z gitarą,  
który się zabija. Tutaj, powiedzą, tu jest autentyczność,  
cudowny chłop, który dużo wiedział i naturalnie  
nie mógł już wytrzymać. Im jest zawsze mało,  
oni zawsze będą w beznadziejnej sferze  
„musisz być sobą”, frajerzy, jeszcze nie odkryli  
czaru fałszerstw i przebrań, jeszcze nie dostali  
anonimowej pocztówki z napisem: LIFE IS NOT  
A CABARET (*It's a fucking circus*), jeszcze nie szli drogą  
do Cytadeli, nie stali na pięknych schodach  
Charlesa Mackintosha w podmuchu światła  
wydymającego balonowe spodnie, unoszącego ich  
do Musee Horta, albo choćby (niespodziewanie)  
pod Castel Sant'Angelo, gdzie romans  
byłby o tyle bardziej staromodny i amerykański.  
Oni powiedzą: „Ponosi nas cokolwiek halucynacyjna  
skłonność ducha, czy zatem seks i nekrolog  
są jedynymi sposobami, żeby życie trzymać krótko?”

Dzień miękko osiadł w mroku  
i zmierzchającemu światłu znów się udało  
zaczarować świat. Delikatne cienie,  
gęsto rosnące, obejmują sprawy i rzeczy,  
wydając nas snom i fantasmagoriom jawy.  
Szał, zwielokrotniony w lustrach, nietoperzowy taniec  
Loie Fuller, ta zamieć skrzydeł, uzyskuje  
dwuznaczną autonomię. Nazywają to ignorancją,  
ale czy można zaufać błaznowi,  
mistrzowi mowy dwoistej i królowi tamtego świata,  
w który się wchodzi przez wrota z kości słoniowej?  
O córo Afrodyty uwodząca śmiertelnych.  
Czy to możliwe, że jeszcze tęsknię do twych lat  
dziewczęcych, kiedy siedzę tutaj przed snem i snuję  
opowieść? Język umie chodzić jak maszyna do szycia  
i kiedy jedna tkanina pruje się, druga  
spływa obfitymi fałdami i właściwie o co  
chodzi? Sny przypominają te zmierzwiłe chmury,  
kładą fresk na strop czaszki i czoło  
marszczy się nad owsianką jak kałuża, ale to już wszystko  
jeżeli pominąć te inne ranki, legendarne,  
kiedy światło drży jak palce sprawdzające żyłkę,  
kiedy przyciskasz szklankę do ust, szkło pęka  
na wargach i mówisz: „Miliony  
łanem cienia płyną ulicami, z ust  
ścieka im krew, zagryzają wargi do krwi  
iodchodzą w zaciszę złudzenia”. Do krwi,  
to dobre, to jest takie Lenzowskie  
szukanie guza, lubieżne pragnienie,  
żeby rzeczywistość zgwałciła cię ze wszystkimi  
ponurymi konsekwencjami. No a sny?  
Ten krótki oddech z dna płytkiej narkozy

zmywanej martwą falą niepomysłnych snów  
jest jak echosonda przynosząca wieści  
oskrzepach lęku rozsianych w arteriach.  
Ale sny ściekną w dzień lub ugrzęzną  
w starganych nerwach, gdy świt na sygnale  
wybłyśnie zza chmur i jadąc rano  
18-ką znów poczujesz się przesiedlonym  
obywatelem świata — roztrzępaną wrażliwością  
sfotografujesz te słynne mosty na prawo i lewo,  
wałące się? Mosty jak przewrócone dźwigi?  
Po których pełzną windy samochodzików?  
Cokolwiek. I powiesz: „Czas już na plan.  
Kręcimy wszystko od «rozprzężenia zmysłów»  
do końca. Do końca i dalej, daleko  
dalej, do diabła i jeszcze dalej”.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sosnowski-wiersz-dla-becky-lublinsky>

Tekst opracowany na podstawie: Andrzej Sosnowski, *Pozytywki i marienbadki*, Biuro Literackie, Wrocław 2009.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).